9075

T,3

zeszyt 9

OMNIUM

0.60

Le mie prigioni 5.

57/50

+. 9

Główne przesłuchanie.

Dnia 23 grudnia 1914 zostałem ze zwykłą paradą zaprowadzony do sędziego Drª Knopfa. Idąc po schodach na górę, spotkałem adwokata krakowskiego Drª Leopolda Caro, który jako oberleutnant auditor pełnił służbę sędziego w Korpusie Krakowskim. Powitał mnie okrzykiem i wyciągnął rękę. Ja mu swojej nie podałem, tylko wskazawszy na prowadzącego mnie żołnierza z najeżonym bagnetem, powiedziałem:

– Pan się myli. Nie możemy sobie rąk podać, bo się Pan skompromituje.

– Nie gadaj pan głupstw – odpowiedział – to wiem, że pan teraz siedzi, ale wiem także, że pan jest nieposzlakowanym człowiekiem i dlatego właśnie przy tym żołnierzu chcę panu rękę uścisnąć.

Muszę powiedzieć, że to zachowanie się Dr^a^ Caro nietylko mnie wzruszyło do głębi, ale obudziło podziw dla jego odwagi i wdzięczność. Uważałem za rzecz naturalną, że nietylko znajomi, ale przyjaciele i rodzina powinni mnie unikać, aby się nie narazić. Niech ubocznie czynią zabiegi, jeśli zdołają. Ale niech się nie wdają ze mną i nie kompromitują, bo mnie tem nie pomogą, a sobie zaszkodzą. A skoro już ofiary być muszą, to niech ich będzie jak najmniej. Wystarczy, gdy ja zginę – po co ktoś inny miałby przechodzić nawet przez śledztwo? Do początkowej otuchy, jaką wyniosłem po pierwszem

przesłuchaniu, straciłem już dawno. Gdyby mi zarzucano tylko współudział w rozwiązaniu wschodniego legionu, kilka dni wystarczyłoby dla przekonania się o mojej niewinności w tej sprawie: zwłaszcza na podstawie tych dowodów, jakich dostarczyłem. Gdy więc moje więzienie przeciągało się, doszedłem do wniosku, że śmierć moja postanowiona, a tylko konstruuje się powody dla niej. Nie dziw, że sprawa się przedłuża, bo to dość trudne zadanie.

U sędziego spostrzegłem na dużym stole pod ścianą kilka ogromnych kopert, bardzo napęczniałych, oraz dość duży stos papierów, notatek, notesów itd. Poznałem także i moje zeszyty. Wszystko to były (corpora delicti) lica sądowe moje i osób, które chciano wplątać w moją sprawę. Każda koperta nosiła wielkiem pismem niebieskiem imię podejrzanego. Były więc koperty z napisem: Podgórski, Olech, Surowiecka, Borkowski, Biechowiak, Mattosz itd. Wewnątrz mieściły się łupy, zabrane u tych osób podczas rewizyi. Dr. Knopf brał do ręki świstek za świstkiem i żądał objaśnienia treści, poczem dyktował je do protokołu wedle numerów porządkowych, w jakie już były zaopatrzone. Jak szeroko krojono sprawę, wystarczy powiedzieć, iż pokazywał mi listy, pisane do panny Surowieckiej przez jej przyjaciółki, mnie nawet z nazwiska nieznane i pytał, czyje to pismo, a potem, co znaczą jakieś wyrażenia. Wietrzono widocznie jakieś sprzysiężenie. Tak samo było i z listami, adresowanymi do innych osób, u których przeprowadzono

wadził rewizyę. Musiałem mocno trzymać się na baczności. Nie dość było o nieznanej osobie powiedzieć, że jej nie znam. Nie mogłem cofać się przed daniem wyjaśnienia, jeżeli w liście mówiono o jakimś wypadku czy sprawie, które mi były znajome, bo chodziło o takie przedstawienie rzeczy, żeby już potem tych osób nie podejrzywano i nie niepokojono. Nie mogłem zaś kłamać w żywe oczy, bo łatwo byłoby sprawdzić moje ~~kł~~ zmyślenie. Pracowałem więc głową jak przy najostrzejszym egzaminie i mam wrażenie, żem się spisał dobrze. Były bowiem i takie osoby, które wedle ówczesnego pojmowania sprawiedliwości powinny były zająć obok mnie miejsce w Kozie. ~~Tymczasem muszę o nich zamilczeć.~~

Po listach przyszła kolej na notatniki. Między nimi najwięcej kłopotu sprawił mi notes Podgórskiego. Profesor gimnazyum T. S. L. w Białej Zygmunt Podgórski jest moim najlepszym przyjacielem. Obok prof. Srokowskiego w Tarnopolu jest to najbardziej zasłużony, najruchliwszy, ale i najnieskazitelniejszy działacz narodowy w Galicyi. Zapominając całkiem o sobie, człowiek ten poświęca wszystko pracy dla idei i jako charakter oraz jako zasługa należy do najpiękniejszych postaci w Galicyi, a gdy się wielkość mierzyć będzie tylko wielkością duszy i sumą poświęcenia siebie dla idei, nie zaś stanowiskiem publicznem, do jakiego człowi ambicya doprowadza, to jest to jeden z największych.

Należał do wszystkich organizacyj oświatowych, narodowych, gospodarczych i politycznych. W notatniku zaś zapisywał sobie podczas zgromadzeń i posiedzeń przebieg dyskusyi, naturalnie w streszczeniu, a nie w stenogramie. Skracał zatem wywody w krótkie wyrażenia, treściwe i mocne, co Niemcy Schlagwort nazywają. A te skrócenia wypadały w zapiskach okropnie kanciasto.

Tak np. z posiedzenia Rady Naczelnej stronnictwa chrześcijańsko ludowego, zwołanego tuż przed wojną do Tarnowa, zapisał w streszczeniu przemowy p. Wierzbickiego i na jego rachunek, słowa: „Precz z hasłem: Przy tobie Panie stoimy i stać chcemy". Jest to jak wiadomo, hasło stronnictwa stańczyków wobec Habsburgów. Wierzbicki odbywał właśnie służbę na froncie jako oficer artyleryi austryackiej. Zląkłem się, żeby za ten zapisek nie dostał się pod sąd. Wyjaśniłem więc, że posiedzenie odbywało się pod mojem przewodnictwem i że Wierzbicki długo a spokojnie wywodził, iż stanowisko galicyjskich Polaków wobec dynastyi jest inne niż stanowisko Polaków z Kongresówki i że owo hasło wierności nie obowiązuje Królewiaków. Przeprowadziłem rzecz tak, że tylko rozmyślna zła wola mogła mi nie uwierzyć, poczem wytłumaczyłem streszczaniem szorstkość słów, użytych przez Podgórskiego. Mam wrażenie, żem zrobił to tak naturalnie, iż sądowi musiało wydać się bezprzedmiotowem pociąganie obu tych ludzi.

Między innymi licami sądowymi pokaźne miejsce zajmowała korrespondencya z Ameryką. Odezwę chicagowskiego Związku, podpisaną przez p. Antoniego Osadę, sędzia chciał uznać za moją osobistą zbrodnię prasową, bo odezwa była już wydana drukiem w okresie wojennym. Zaznaczywszy, że z tą odezwą nie mam nic wspólnego, przyjąłem jej treść za wyrażenie moich własnych zapatrywań, przyczem wykazałem, że z pomiędzy trzech zaborców Austrya wychodzi w niej najmniej sponiewierana i potępiona. Gorzej było z listami kilometrowymi p. Kazimierza Macha, który na kilka miesięcy przed wojną pisał, co mu podniecenie nasunęło pod pióro. Na szczęście Dr. Knopf uznał tego pana za osiadłego Amerykanina i na myśl mu nie przyszło, żeby go można było znaleźć w Galicyi. Listy te zabrano mi z Krakowa, rozbijając zapewne moje żaluzyowe biurka, od których klucze złożyłem w depozycie więziennym. Chciał biedny auditor za dowód znoszenia się mojego z Rosyą uznać odpowiedzi ambasadora austryackiego z Petersburga i austryackiego konsula generalnego z Kijowa, do których w swoim czasie odnosiłem się w sprawie ~~aresztowanych Polaków galicyjskich~~ ~~aresztowanego socyalisty Kar. Pużaka~~. Dla ciekawości wtrącę, że ostatnia z tych korrespondencyi dotyczyła aresztowania ~~mojego niegdyś ucznia~~, socyalisty K. Pużaka z Tarnopola, który dziś jest posłem do Konstytuanty rosyjskiej. Policya gnębiła go w Warszawie tylko za należenie do partyi socyalistycznej, a rząd austryacki bardzo słabo upominał się

o swego obywatela. Aby go wyzwolić, uciekałem się aż do wojskowości, tłumacząc, że ten więziony jest obowiązany do służby w wojsku austryackiem.

Przy tej sposobności uśmiałem się w duszy serdecznie na myśl, że w tych samych biurkach zostawiłem w Krakowie kilka tysięcy listów chłopskich z całej Galicyi, zawierających różne żałoby na starostwa, urzędy podatkowe, oraz prośby o poselskie wstawiennictwo w rozmaitych dolegliwościach codziennych. Ilu ludzi musiało sortować te listy, ile czasu zużyli na ich odczytanie, aby nakoniec przekonać się, że nie zawierają nic politycznego, a już bynajmniej nie zdradzają żadnego spisku! I pytałem się po cichu z utajonym śmiechem, czy też – o ile nie zginą – zwrócą mi je kiedyś uporządkowane wedle przedmiotów?

Najcklwszem było pytanie, skąd się u mnie wzięło pięć tysięcy egzemplarzy sprawozdania hr. Skarbka o rozwiązaniu legionu wschodniego. Nie wiedziałem, że ich wydawca tajny p. Stanisław Biega już się był dał ogarnąć w Rzeszowie przez Rosyan i że mu podczas wojny nie grozi austryacka szubienica. Zataiwszy jego udział w tej sprawie opowiedziałem zgodnie z prawdą, że nieznany mi osobiście młodzieniec doniósł mi w Kawiarni pod Czarnym Orłem, iż mi przyniósł do mieszkania druki – że jako poseł, przyzwyczajony do odbierania całych stosów druków, nie przywiązywałem do tego doniesienia żadnej wagi, tylko zdawkowo podziękowałem

i że w domu dopiero pobaczyłem, co to są za druki. Widocznie odtłaczano je tajnie, bo ani drukarnia ani miejsce wydania nie nazwane. Rzecz pisana w pierwszej osobie nie pozostawia wątpliwości, iż pisał ją szef departamentu wojskowego we wschodniej sekcyi Naczelnego Komitetu Narodowego, a tym był hr. Skarbek. Podpisu żadnego, ~~nie~~ ani autora ani wydawcy.

Dr. Knopf powiedział, że czcionki zdradzają polską drukarnię w Cieszynie i łączył z tem znalezioną u mnie kartkę od p. Domagalskiego, ~~kt~~ w której donosi, że mi przysyła druki, ~~z apowiedz~~ imieniem p. Biegi. Na szczęście zabrano u mnie kilkadziesiąt egzemplarzy sprawozdania sekcyi śląskiej Naczelnego Komitetu Narodowego, więc łatwo było rozwiać owe podejrzenia, wyjaśniając, że obywatel śląski przysyła mi druki, dotyczące Śląska. Niemniej, jak się później dowiedziałem, przeprowadzono w Cieszynie ścisłą rewizyę u wszystkich polskich działaczy, ale na szczęście nie znaleziono nic obciążającego.

W ten sposób wlokło się to przesłuchanie przez cały dzień 23. grudnia i całe rano, poza drugą popołudniu dnia 24 grudnia.

Podczas swego pobytu w Białej i w Bielsku sędzia zauważył, że prawie wszyscy Polacy posiadali podręczniki do nauki języka rosyjskiego. Oburzało go to i nawet ~~wygado~~ chwalił się, że inny sędzia byłby wszystkich pozamykał, gdy on okazał się wyrozumiałym i nie brał tej sprawy zbyt pedantycznie.

A jednak musiał ją brać pedantycznie, bo zażądał mojego oświadczenia do protokołu. Podyktowałem więc, że w tych miastach utrzymywała się pogłoska, iż wojsko austryackie cofnie się na morawski dział wód, że mieszkańcy związani interesami z miastem nie chcą iść na uchodztwo, a chcąc się językowo porozumieć (sich sprachlich verständigen) z najeźdźcami, zabrali się do nauki ich języka. Odnosi się to tak do Niemców jak do Polaków i szkoda, że rewizyi nie robiono u Niemców, bo tam, zdaje się, nie znalazłoby się żadnego domu bez podręcznika do języka rosyjskiego. Nie zauważyłem żadnych zdradzieckich zachcianek ani u Niemców ani u Polaków.

Dla ścisłości zaznaczę, że o tem, czy Niemcy kupowali rozmówki niemiecko-rosyjskie, czy nie, zupełnie nie wiedziałem i nie wiem. Zeznałem tak, aby Polaków uchronić przed nowemi rewizyami. Świadectwo wierności państwowej, wystawione przezemnie Niemcom w Bielsku i w Białej, miało wartość szczerej prawdy, jako pochodzące od człowieka, zwalczającego Niemców tak bezwzględnie, jak ja to robiłem – a pod tą osłoną starałem się przemycić i spokój Polaków.

Wistocie było nieco inaczej. Większość zasiedziałej intelligencyi i kupiectwa polskiego w Białej i w Bielsku miała dusze zniemczone. Tem mocniej odbijały od niej jednostki napływowe, przerażone owym zalewem germanizmu, tudzież

świat robotniczy polski. Ci z nienawiści do Niemców byliby powitali z radością dyabłów, nietylko Moskali, byleby się od germańskiej buty i zachłanności ocalić. I o te jednostki, znane, bez wątpienia denuncyowane, lękałem się bardzo. Dla tego też użyłem takiego ~~frazesu~~ wyrażenia, niby to z lotu ptaka dostrzeżonego, aby, o ile możności, oddalić od nich prześladowanie grożące zawsze.

W dzień wilii przerwano na chwilę moje przesłuchanie, przynosząc Drowi Knopfowi akta legionisty Piechocińskiego, aby postawił końcowy wniosek. Przynoszący oznajmił, że sędzia Frzaska stawia votum na dziesięć lat więzienia, ponieważ poszlaki wydają mu się zbyt nieprzekonywujące. Oburzył się Dr. Knopf i zaczął tłumaczyć, że w tych a tych postępkach szpiegostwo jest widoczne „jak byk”, w tamtych słowach zaś zdrada główna jasna „jak słońce” itd. Dostało się przy tem nieobecnemu p. Frzasce od nieuków, niemających doświadczenia i.t.p., poczem sapiący auditor usiadł i zaczął pisać, przepowiadając sobie, to co kreślił. Stwierdził więc na podstawie aktu ~~A~~, numer ten a ten, że postępek ma wszystkie znamiona szpiegostwa, na podstawie innego aktu działanie na szkodę armii, wreszcie zdradę główną i postawił wniosek na śmierć przez powieszenie: den Tod durch den Strang. Podpisawszy z zawijasem swoje imię i k.u.k. Oberleutnant-Auditor, wstał rozpromieniony i wesół jak po dokonaniu dużego czynu.

Poczem bez żadnych pytań po odesłaniu papierów podpisanych, zabrał się do dalszego przesłuchiwania mnie. Miał prawie wszystkie uchwały, powzięte na zwołanych przezemnie zgromadzeniach, posiedzeniach organizacyi lub Rady naczelnej stronnictwa, a że ja zawsze referowałem na czele wnioski, dotyczące naszego narodowego stanowiska, nie brakło materyału do politycznych ściśle zeznań. Streszczały się w tem, że sojusz Austryi z Niemcami uważam za zależność Austryi, że zwycięztwo państw centralnych przedstawiało mi się jako zwycięztwo Prus, że byłem pewny, iż ewentualna przegrana skończyłaby się rozbiorem Austryi dla ratowania całości niemieckiej, że więc wedle mego przedwojennego przekonania zwycięztwo Niemiec jest dla Austryi niebezpieczne, a dla polskości zgubne (für Österreich gefährlich, für das Polentum verhängnisvoll).

Dla obrony siebie i swoich przedstawiałem tak wspólność interesu polskiego z austryackim i wspólne niebezpieczeństwo ze strony tego samego wroga. Wiedziałem, że czynniki rozstrzygające w Austryi mają inne zapatrywanie i że wskutek tego mówię nieprawdę. A jednak jest to prawda i dziś, być może, że i we Wiedniu, choć po niewczasie zaczynają rozumieć, iż nieszczęściem Austryi jest jej sztuczna niemieckość i sojusz z Niemcami.

Ale pan sędzia chciał gwałtem dowiedzieć się, jakie są moje zapatrywania teraz, podczas wojny. Odpowiedziałem,

że tesame. Tylko nie mam sposobności do ich ogłoszenia z dwóch przyczyn: zamknięto moją gazetę, zakazano zgromadzeń i zaprowadzono cenzurę, więc zewnętrzne przeszkody nie pozwalają. A są i przeszkody wewnętrzne: wojna nie jest chwilą do rozwijania teoryi, które różnią ludzi lub osłabiają wolę – wojna jest działaniem, w którem wszystkie siły trzeba wytężyć ku zwycięztwu, a wszystko co poza tem staje się szkodzeniem całości. Dlatego usunąłem się od wszelkiej roboty i patrzę, czy w moich przekonaniach wypadki mnie utwierdzą, czy też dowiodą, że byłem w błędzie.

Stylizowanie tych zeznań szło mi z trudnością. Chodziło mi o dwie rzeczy: nie chciałem przyjąć postawy zdrajcy austryackiego, bo nim nie byłem. W mojem zwalczaniu rządu austryackiego nie było chęci burzenia i osłabiania państwa, lecz chęć przemiany tego anachronicznego tworu na nowoczesny, chęć wyzwolenia tego państwa z zależności, w której dobrowolnie ugrzęzło, oraz wstyd za należenie do monarchii wassalskiej, podległej, niewolnej.

Ale nie chciałem, żeby ta państwowa lojalność austryacka przyćmiewała lub tylko wypaczała mój właściwy patryotyzm polski. Nie będąc austryackim zdrajcą, byłem zawsze tylko Polakiem. Uważałem Austryę za karczmę, w której znaleźliśmy przytułek wśród burzy. Zanim dojdziemy do własnego domu, nie burzmy karczmy, ani nie róbmy

z niej chlewa. Nie było w tem uczuciu miłości, tylko interes chwilowy. Wszelako aż do wybuchu rosyjskiej rewolucyi nie mogłem sobie wyobrazić kombinacyi, w której mógłbym czuć pochop do zdradzenia Austryi na czyjąkolwiek rzecz. Patrzyłem na Austryę krytycznie, nienawidziłem przeklęte jej systemy rządowe, ale nie [w danych warunkach] wyobrażałem sobie położenia, w którem chciałbym pracować nad jej rozbiciem. Byłem więc lojalnym obywatelem koncepcyi państwa austryackiego, a ta lojalność wynikała z nienawiści do Prus i do Rosyi.

~~Wynikała naturalnie z umiłowania Polski.~~ I chodziło mi mocno o to, aby moje uczucie znalazło w protokole wyraz jasny, dobitny, niezaćmiony, że jestem Polakiem i tylko Polakiem, który przypadkowo był i niezłym obywatelem austryackim, ale to obywatelstwo obowiązuje go chwilowo aż do odwołania.

Czym z tej trudności wybrnął tak, jak chciałem, nie umiem powiedzieć, bo wyrażeń nie pamiętam. Pamiętam uczucie. Sposobiłem się na śmierć i chciałem, żeby zostało po mnie ostatnie słowo czyste i proste, prawdziwie polskie. Ale nie chciałem dla akcentowania polszczyzny zmyślać jakichś antiaustryackich wybuchów, aby nie wnioskowano z tego, że prowokowałem i chciałem śmierci. Ja śmierci ani chciałem ani nie; jeżeli mają mnie zabić, chciałem, żeby nie mieli żadnego uzasadnienia nadto, że w Austryi Polakiem być nie wolno. Takie stwierdzenie mogłoby ulżyć następno

~~polskie pokolenia z wielu złudzeń.~~

Już zbliżała się trzecia i w żołądku zaczęło burczeć. Protokolant prosił o przerwanie, ale sędzia uparł się, aby od razu skończyć. Przez duże szkolne okno zaglądała pogodna, pożarna zorza zachodu, gdyśmy doszli do końca. Trzeba było odczytać jeszcze, abym mógł stwierdzić podpisem, że tak a nie inaczej zeznałem.

Wtedy zwróciłem się do Dra Knopfa z następującem przedłożeniem: Wszystko, o co mnie pytają, co mi zarzucają, są to myśli, słowa, czyny, zaszłe przed wybuchem wojny i przed ogłoszeniem wojennych rozporządzeń karnych. Jeżeli jest w nich coś karygodnego, to rozprawa należy przed trybunał cywilny, lub sąd przysięgłych. A ponieważ przeważna część tych ściganych dzisiaj oświadczeń pojawiła się drukiem, więc dzisiaj nie tyle ja należę pod sąd, ile c.k. prokurator za to, że zaniedbał we właściwym czasie konfiskować te uchwały i artykuły. W każdym razie nie zarzucono mi ani jednego słowa i ani jednego czynu karygodnego, popełnionego podczas obowiązywania rozporządzeń wojennych. Wobec tego oświadczam, że uznaję sąd wojskowy za niewłaściwy i chcę do protokołu dać protest przeciw kompetencyi sądu.

Dr Knopf słuchał z początku w roztargnieniu, potem uważniej, wreszcie przymrużył oczy roziskrzone, ubierając je w sieć marszczek, gładka biała skóra na okrągłej twarzy

pofałdowała się i ściągnęła wargi ku uszom, odkrywając białe zęby z jednym złotym, a cała twarz przybrała wyraz tak złośliwie szyderczy, że nie mam określenia na tę maskę nagłą, jak: szatańska.

— A jeżeli pan myślisz, że to panu coś pomoże, to i owszem, powiedział z jakiemś kociem parsknięciem, żem się zdumiał i wytrzeszczył oczy. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, bom go ani myślał obrażać, ani mógł tem oświadczeniem dotknąć. ~~Ach! zrozumiałem! Toż ja jego zwalczałem publicznie, gdy jako członek P.P.S. Syon rozpoczął antypolską robotę~~ (~~[illegible]~~) ~~a teraz on myśli, że mnie ma w ręce, że na moim trupie dostanie medalu, może „na wstędze waleczności", więc wszelkie trudności proceduralne oddalają go i od zemsty i od odznaczenia.~~ Pomyślałem więc: Nie będę mu psuł zabawy, niech się cieszy żuk, że mieszka w pomiocie. Więc machnąwszy ręką, rzekłem:

— Hm! Nie zależy mi na tem tak bardzo, to się nie myślę upierać...

Wyszedłem, a żołnierz eskortujący, pod wpływem głodu zapomniał o zakazie rozmawiania i przez drogę opowiadał o ciężkości służby. Wyrzekał się nieborak. Pocieszałem go tylko, że wedle naszych obrzędów w dzień wilii nie wolno nic jeść aż do wieczerzy.

Wieczór wigilijny.

W więzieniu panował nastrój świąteczny. Nawet dusze zatwardziałe służbistych klucznikow tajały powoli pod wpływem świętego wieczoru, wspomnień i nastrojów. Zugsführer Matzke powitał mnie uśmiechem i okrzykiem radości, widocznie do głowy uderzyło mu święto i wino. Ale nie on jeden zmienił dyscyplinarną sztywność i nie tylko wobec mnie jednego. W całem więzieniu widziałem jakoby rozluźnienie karności. W Kancelaryi, gdzie zgłosiłem mój powrót, profos z roztargnieniem kończył swoje roboty, widocznie duchem był w domu przy ustrojonej choince; okazywał pisarzom łaskę, więc wszyscy byli rozpromienieni, a puszczał i jakieś koncepty, bo się śmiano chórem rozgłośnie. Po korytarzach snuli się pośnieżni więźniowie, pogwizdując i śpiewając, z radością w oku. Nadzorcy patrzyli na nich z życzliwą pobłażliwością. Po raz pierwszy zatarło się na chwilę uczucie trwałe, silne, choć nieuświadomione może, że nadzorujący i nadzorowani tworzą dwa nieprzejednanie wrogie obozy. Różnica zniknęła – wszyscy byli ludźmi, ~~bez~~ nieszczęśliwymi, bo ich wypadki wtłoczyły w nieubłaganą maszynę organizacyi wojennej, bo ich oderwały od rodzin i domów, więc sobie wybaczyli wzajemny stosunek, oparty na narzuconej wrogości i przejednali się na chwilę. Ogłoszono też rozkaz, że komendant darował wszystkie kary porządkowe, więc pojednanie było powszechne. Nastrój panował tak niezwykły, że mi przyszło być dobrze w więzieniu.

Poczułem się między ludźmi, a nie krwiożerczemi bestyami.
Dotykalnie odczułem wpływ rodzinnego wychowania ludzi.
Przez wspólne uroczystości familijne i przez uczuciowe wspo-
mnienia nawet najzatwardzialsza dusza staje się zdolną do
rozczuleń, które dobywają na jaw wszystkie dobre ~~przymioty~~ popędy,
jeżeli jakie są. Co za szkoda, że nie można całej ludzkości tak
wychować, bo możby i wojny nie było – i co za szkoda, że nowo-
czesne życie, rozbija rodzinę, ~~~~ zrywa wspólnotę uroczystości
i wychowywa pokolenia bez pamiątek, bez chwil, w których
człowiek staje się lepszym.

Zamiast wieczornej kawy rozdano „poncz," a obok tego
każdy więzień dostał struclkę białego chleba. Rozmarzałem
się tak, że całą duszą wdzięczny byłem zarządowi więzienia
i wszystkim komendom za to, że w ten święty wieczór
pamiętają o ludzkich radościach aresztantów. A po tej regula-
minowej uczcie przyszedł Matzke z doniesieniem, że
idzie do miasta i może dla nas poczynić wigilijne za-
kupy. Zamówiliśmy więc każdy po trzy świece, po litrze
wina, a prócz tego orzechy, jabłka i t. p.

Pospisil chodził po celi ze zwieszoną głową i coraz się
pytał, jaką też wilię odbywać będzie jego „żenka" lub żalił się,
że mu przyszło tak przepędzać „swaty weczer." Przewoźnik
siadał, wstawał, pytał mnie o przebieg przesłuchania
i nie słuchał odpowiedzi, a ja miałem ten wszechświatowy

nastrój wyrozumiałości, który sprawiał, że mnie jego roztargnienie chwytało za serce i czyniło mi go droższym. O domu starałem się nie myśleć. Ale poza postanowieniem wyskakiwały zniienacka wspomnienia dzieciństwa takie drogie, a tak niepowrotnie stracone. Zaciskałem zęby, aby sobie nie wyobrażać, jak też dzisiaj matka i siostra pod rosyjskim najazdem mogą świątkować. I aby niesforną myśl odwrócić od tego obrazu, który mi się przedstawiał tylko okropnie, starałem się rozrywać towarzyszów i przenieść się w ich świat marzeń, bo mój byłby ohydny.

Nareszcie Matzke przyniósł sprawunki i trzeba było jednak jakoś wieczerzę urządzić. Nie mieliśmy stołu, bo go wyniesiono już dawno dla zyskania miejsca. Gdzie uczepić świeczki? Jedynem miejscem był czarny płaszcz nad piecem w kącie. Tam więc ustawiliśmy kilka świeczek i uczyniliśmy illuminacyę. Stołek z pod miednicy służył im obydwom za siedzenie, ja umieściłem się na walizce. W ten sposób byliśmy skupieni do kąta, ale płaszcz piecowy nie mógł zastąpić stołu, ~~więc~~ bo był za mały i zbyt wgłębiony, więc kolana własne musiały dalej pełnić codzienną służbę stołu.

Przewoźnik wspomniał, że brakuje nam opłatka i zasępił się mocno. A ja w jednym rzucie wyobraźni zobaczyłem się dzieckiem w naszej dawnej chacie: W kącie stoją snopy trzy

zboża, przedemną stół wymoszczony sianem, na nim wieniec czosnku oznacza miejsce na misę; my z bratem siedzimy na wiązkach słomy, bo tak każe stary obyczaj; naprzeciw nas oboje rodzice. Ojciec sięgnął do symbolicznych snopów i wyjął z nich wiązkę opłatków i jaszczyk miodu – jakaś cisza głęboka zawisa i drżący głos ojca winszuje nam (i sobie) szczęścia i możności doczekania takiego samego święta „na bez rok." Gdzie te czasy?...

Popiliśmy wina z flaszek i zaczynamy łupać orzechy. Pospiszil przerwał w połowie, zapatrzył się w świece i wybuchnął płaczem. „Co robi teraz żona?" Uspokajam go i powoli zabiera się do gryzienia orzechów, a mnie snuje się już inne wspomnienie. Oto jako gimnazyaści jesteśmy w domu u tych samych rodziców, w tej samej chacie, przy podobnych snopkach, wiązkach i sianie. Towarzystwo się powiększyło, bo przy mnie siedzi malutka siostra z czarnemi oczkami jak tarki. Ojciec, który raz tylko na rok nie opanowywa wzruszenia, znowu powtarza drżącym głosem życzenia, ale inaczej. Nam winszuje, abyśmy w zdrowiu dożyli następnej wilii, ale sam już się nie spodziewa jej dożyć. Biedny, kochany, nieodżałowany wróżbita. Przez kilka lat powtarzał te swoje uczucia, aż go jednego wigilijnego wieczoru rzeczywiście zabrakło między nami. Może i lepiej się stało, bo gdyby był dożył mojego uwięzienia, byłoby mu chyba serce pękło ze wstydu.

Przy płonących świeczkach siedzimy niby razem

zajadamy jabłka, a rozmowa się nie klei. Zbliżeni ciasną celą jesteśmy dalej od siebie niż kiedykolwiek. Pospisil w Prościejowie na Morawach, Przewoźnik w Zarzeczu na Śląsku, ja w Głogowcu w Galicyi. I siedzimy razem w Ostrawie. Nie=obecni duchem.

Teraz na Przewoźnika kolej rozczulenia, bo zaczyna pochlipywać. A jednak oni obaj w lepszem odemnie położeniu, bo wiedzą, że ich rodziny własnych nieszczęść nie mają, Oprócz obawy o tych nieobecnych – gdy u nas? Co tam u nas się dzieje? Jak tam Kozacy gospodarzą? I przypominam sobie małą siostrę, prześlicznę Basię o czarnych oczach i włosach. Ona dziś matka dzieciom, bez męskiej opieki została tam pod najazdem – staruszeczka matka nic jej nie pomoże. Więc zgryzłać się chce i głową w mur walić, gdy przyjdzie myśl okropna. One tam obie może w spokoju obchodzą święta i pocieszają się, że ja jestem w bezpieczeństwie. O zranieniu i wzięciu do niewoli brata nie wiedzą. Może całkiem w ciszy i ukojeniu, tylko w tęsknocie za szybkim końcem wojny, obchodzą ten wieczór? Po co najgorsze przypuszczać?

Ale być może, iż je ewakuowano, pieszo, w jednej koszuli, że pędzone przed wojskiem zaszły w okolice nieznane między nieżyczliwych ludzi... Może się zgubiły w tłumie.. Może teraz zgłodniałe stoją na zimnie u cudzego progu, czekając, czy im kto choć suchy kęs chleba wyniesie? I jakgdyby na jawie

widziałem w noc czarną postać matki białowłosej jak stoi gdzieś w myślenickiem u progu jakiejś chaty niegościnnej i dygoce z zimna i płacze. Obraz był tak wyraźny, że całą duszą wołałem: jeszcze kilometr lub dwa naprzód, aby się dostać w żywieckie, a tam ludzie proszeni w moje imię przygarną niebogę — przecież mi ufają i sprzyjają.

Aby się oderwać od tych obrazów niezmośnych i od bolesnego zacickania się w same przypuszczenia, zaproponowałem Kolędowanie. Na nieszczęście Przewoźnik nie śpiewał, a ja od czasu mojej dwutygodniowej objażdżki po Galicyi z posłem Nakonieczrym, kiedyśmy dziennie po trzy do czterech wieców urządzali i kiedy mimo szalonej chrypki musiałem wytężać głos, tak zdarłem gardło, że nietylko śpiewać nie potrafię, ale z trudnością naznaczam znane melodye. Pospisil miał głos piękny, ale nie znał naszych Kolęd. Skończyło się na tem, żeśmy sobie z Przewoźnikiem pobuczeli jak ochrypłe gołębie „Anioł pasterzom" i „W żłobie leży." Pospisil zaśpiewał jakąś orkiestralną pieśń o charakterze międzynarodowym i ledwie go uprosiłem, że zanucił coś ze trzy chanackich ludowych pieśni, w których grało jakby oddalone echo naszych Kolęd. Ale nie był w usposobieniu, bo się zamyślał ciągle, gryzł paznogkie, albo pochlipywał. W międzyczasie rozmowa już schodziła na stokroć przeżuwane pytanie, czy też doczekamy jeszcze jednej wilii, a stąd i na drugie, czy nas

spotka wyrok śmierci, gdy nagle potężny śpiew kolęd, wykonany poprawnie czystymi, młodymi głosami, rozległ się po całym gmachu. To na trzeciem piętrze cela Piechocińskiego święciła wilię. Musiał tam być i jego głos, głos człowieka, na którego przy mnie dzisiaj wygotowano wniosek o szubienicę. Niech się raduje, jeżeli umie - tyle jego zysku na świecie. O tem, co dzisiaj słyszałem, nie powiem ani jemu, ani nikomu innemu - po co mu truć ostatnie dni, w których może jeszcze nie stracił nadziei?

W położeniu tak groźnem, jak było nasze, zauważyłem, że człowiek czepia się byle czego i zaraz na tem oplata swoje nadzieje. Mnie ten wieczór i pofolgowanie w rygorze podsunęło myśl, że może od tych świąt bezlitosne mordowanie ludzi ustanie. Chciano wywołać postrach i dopięto celu - po co dalej wyrzynać ludność bezbronną? Wszak i wojskowi z arcyksięciem Fryderykiem są ludźmi. Nie powinni przelewać krwi tylko z zamiłowania do czerwonego koloru. Może od tych świąt powieje wiatr łagodniejszy, a wtedy i Piechociński mimo wniosku Dra Knopfa zachowa może życie.

Kolędy w dalekiej celi, i wino, ciągnięte z flaszek dużymi łykami, usposobiły nas trochę lepiej. Zacząłem opowiadać zwyczaje wigilijne u nas za dawniejszych czasów. Nie znano wtedy niemieckiej jodełki, tylko stawiano na poczestnem miejscu snopy zboża, symbol plenności i pożywienia, znak

daliśmy się z bratem ani razu skusić złemu duchowi, bo ze względu na oszczędzanie butów ślizgawka była zakazana. O łyżwach w dzieciństwie nie słyszałem, więc ten sposób szanowania obuwia odpada. Trzeba było poskramiać apetyt w domu i poskramiać ochotę do rozrywki poza domem – taka była szkoła panowania nad sobą.

Po południu czynności piekarsko kuchenne były ukończone, ale złośliwe słońce zasnęło na niebie i ani myśli iść ku zachodowi. Wyglądam przez okno i wyglądam, a ono zadrętwiało i stoi w jednej wysokości: prawdziwe utrapienie. Ojciec zniknął na cały dzień w stodole, domłaca zboże. Nim je zwieje, nim się przesieje i zsypie do worów, co to jeszcze czasu upłynie! Matka wróciła ze stodoły i ostatnie wrzeciona przędzy przewija na motowidła, śpiewając przyciszonym głosem: „Spuśćcie nam na ziemskie niwy Zbawcę". Nie godzi się bowiem w ten uroczysty dzień ciszy krzyczeć donośnie nawet przy nabożnem śpiewaniu. Oj! „spuśćcie, spuśćcie, obłoki," ale prędko.

Już łuna wieczorna czerwieni zachód, rychło patrzeć, a i pierwsza gwiazda się pokaże. Co za ciężkie oczekiwanie. Prace wszystkie pokończone. Na „gody" kończy się u nas rok. Od wilii do trzech Króli wstrzymuję się cięższe prace jak młocka lub inne, a dopuszczone są tylko roboty codziennej konieczności. Więc gospodarz wyprząta boisko

w stodole, gospodyni zamyka pierwszy okres kądzieli – na boisku nie ma ziarenka, motowidła i wrzeciona opróżnione. Parobcy i dziewki spożyją jeszcze wigilię w rodzinie, gdzie służyli, a od św. Szczepana zaczną się rozglądać, czy szukać nowej służby, czy pozostać na starem miejscu. Chodzenie „z Kobyłką," zwaną w innych stronach „turoniem" nastręcza im sposobność do rozejrzenia się między gospodarami. Dziewczęta służebne i niesłużebne będą chodziły z Kolędą na „szczodry wieczór." Mają dwa tygodnie wolne na to, aby się ugodzić, skąd zapewne i nazwa świąt „gody."

Ale mimo, że roboty pokończone, nie zanosi się na wieczerzę. Matka czyści chatę i my pomagamy, jak umiemy, nietyle z zamiłowania do roboty, ile dla zabicia dłużącego się czasu. Już nie jedna, ale setki gwiazd migocą na szafirowem niebie, a jeszcze daleko do wieczerzy. Ojciec wrócił ze stodoły i zaczyna się toaleta. Matka nagotowała ługu z przecedzonego popiołu wierzbowego, który ma moc czyszczenia ciała i daje zdrowie człowiekowi. Myjemy się wszyscy kolejno w tej miękkiej i wonnej ciepłej wodzie. A chociaż proceder trwa długo, cierpliwość się wzmocniła, bo to wstęp do wilii i jakoby jej początek. Wymyte ługiem włosy nabrały miękkości jedwabnego puchu i układają się posłusznie pod grzebieniem. Już i chata czysta i jej mieszkańcy oczyszczeni na przyjęcie Zbawiciela.

Jest noc prawie czarna, gdy oboje rodzice wychodzą, zostawiając nas dzieci w izbie. To już!

Otwierają się drzwi, chlust mroźnego powietrza wpada do chaty i ojciec, niosący symboliczne snopy zboża, woła radośnie:

– Na szczęście, na zdrowie na ten Nowy Rok.

– Witajcie z Kolędą – wołamy z bratem, a serca nam biją od wzruszenia. Snopy ustawione w kącie honorowym, a w środkowy między kłosy wkładają wiązkę opłatków i jaszczyk z miodem przaśnym. Z takiem samem pozdrowieniem wchodzi matka i wnosi wiązań siana. Rozścielamy je na ławach, na skrzyni, na wszystkiem, co jakąś powierzchnię pokazuje do góry. Każdy stołek zaścielony, a siano powrósełkiem słomianem przywiązane, aby nie spadło. Ojciec raz jeszcze wraca z wiązkami słomy równej i mierzwy, powtarzając swo sakramentalne pozdrowienie, które aż do Nowego Roku zastępuje pozdrowienie codzienne: „Pochwalony Jezus Chrystus."

Każdy, choć najmniejszy dostał własny opłatek, który naciera miodem, a potem tę omastę przykrywa drugim opłatkiem i zbliża się chwila uroczysta, chwila życzeń, przez ojca składanych. Ojciec swój opłatek przekładany podaje kolejno wszystkim; każdy ułamie czy ukąsi kawałek i dziękuje, poczem każdy kolejno powtarza tę ceremonię

własnym opłatkiem. Zaczyna się wieczerza. Gdyby siedmioletni chłopak, wygłodzony przez całodniowy post na kształt wilka, miał poetyczny żołądek, mógłby napisać szereg hymnów na śledzia, smażonego w oleju, na kapustę z grochem przypieczaną, na kaszę hreczaną i jaglaną z „pamułą", na „pierogi" z makiem i inne ~~od~~ wynalazki kuchenne, samorodnego pomysłu. Jemy w milczeniu, a matka wzdycha, bo jej serce przepełnione radością, żeśmy tak wszyscy społem doczekali tego święta. I ojciec, zwykle ponury, ma jakieś weselem wzruszone wejrzenie, jakiś jest miękki i wyjątkowo pieszczotliwy. My tylko z bratem doznajemy na początek tylko wzruszeń gastronomicznych i dopiero po którejś tam potrawie zaczynamy być dostępnymi i dla wzruszeń świątecznych.

Nareszcie i długa ceremonia wieczerzowania skończona. Rodzice biorą kawałki chleba z opłatkami i idą na oborę do krów i koni, aby im także dać kolędę, niech wiedzą, że to święta. Szczęśliwe to stworzenia i o północy widzą otwarte niebiosa z aniołami śpiewającymi: „Chwała na wysokości" i mową ludzką porozumiewają się przez chwilę. Tylko biada temu, ktoby je chciał podsłuchać. Jako mędrkujący przeciw wyrokom boskim niesprawiedliwym, zginie natychmiast nagłą śmiercią. Stąd pochodzi, że nigdy żadne objawienie, wypowiedziane przez bydlęta

w zaczarowaną północ, nie doszło do ludzkiej wiadomości. Człowiek bowiem skazany jest na nieznanie przyszłości, aby się zanadto nie wzbił w pychę z powodu przeceniania własnego rozumu.

Równocześnie rzuca się kawałek chleba do studni, a gdzie są dziewczęta, biegną zaraz po wieczerzy po wodę. Która wyłowi kawałek chleba, wyjdzie zamąż do roku. Gdzie jest czeladź obca, przez całe święta siada z gospodarzami do wspólnego stołu – a gdyby przyszedł dziad lub nawet włóczęga, ma być do wspólnej wieczerzy zaproszony. Jest to święto równości i pojednania. Wrogowie, procesujący się i nie mówiący do siebie, muszą się dnia tego przy spotkaniu pozdrowić.

Po spełnieniu obrzędków na oborze i w stajni przychodzi czas kolędowania. Ojciec zaczyna: „W żłobie leży." To jest kolęda święta, kanon wigilijny. Ale śpiewakiem nie jest. Na szczęście matka śpiewa dobrze, a my jej pomagamy i przyciśnięta chata aż chodzi od rozgłosu. Chwalimy Boga z całej mocy, bo i jest za co. Skończył się czas nieprzerwanej i niewyczerpanej roboty i ciągłych zabiegów: oto choć raz na rok siedzimy spokojni, wypoczywamy i cieszymy się razem. Ojciec ma jeszcze drugą upodobaną kolędę: „Witaj Jezu pożądany," więc ta następuje zaraz po pierwszej. Śpiewamy wszystkie zwrotki z powtarzaniem refrenów, choć to przeciągłe, ale nie żałujemy. Panu Bogu też nudy.

Teraz matka bierze kantyczkę, a że w niej pieśni alfabetycznie ułożone, więc idziemy do „Anioł pasterzom mówił", „Anieli w niebie śpiewają", „Anielski chór", itd. Już więcej jak godzinę trwa to wykrzykiwanie donośne, od którego, aż nam oczy z orbit wychodzą, więc trzeba przerwać. Czas „bić kopy." Ojciec zakłada za szpary w powale pęki słomy, my rzucamy także garści równej słomy w górę: co uwięźnie, zostanie wisieć. Za gwoździe, wieszaki, obrazy zaczepiamy tę słomę i po chwili izba cała wygląda jak stajenka betlejemska, albo i gorzej. Słoma wisi zewsząd jak pajęczyna wedle świadectwa kolędy:

„Wisząc ze ścian pajęczyna,
Boga oraz Matki Syna
Obiciem była."

Gwarliwie i po pustacku załatwialiśmy ten obrzęd, poczem rozścieliło się słomę po ziemi, a tak prócz siana i słomy niczego już nie widać. Jest prawdziwa stajenka.

Po tej przerwie zabieramy się do śpiewania pastorałek. Już to nie jest nabożeństwo, tylko swywolne krotofile, więc refrenów się nie powtarza, tylko zmierza się do końca, aby się ubawić figlami pasterzy i melodyami, od których serce skacze i raduje się głowa.

Po dziesiątej trzeba się zbierać na pasterkę do Sieniawy. Zawczasu, bo noc ciemna, a przeprawa przez San niebezpieczna.

i droga daleka. Zazwyczaj na gody był już lód na Sanie, ale drogą nocą nie była pewna ze względu na niezamarzające przecięcze nad „baduniami". A jeżeli to dziś trzeba się było przeprawiać, to się mitręgżyło wiele czasu nim łódź obróciła między brzegami szerokiej wody.

Wychodzimy, a we wszystkich chatach świecą się jarko okna wśród ciemności i drewniane ściany tętnią melodyami Kolęd. To chaty śpiewają i radują się tej nocy, a jeżeli anieli w niebiesiech pełnią swój obowiązek, to świat cały, ziemia i niebo radują się śpiewaniem.

Po grudzie, która nogi zrywa lub po chwarszczącym śniegu spotykamy inne cienie i pozdrawiamy:

– Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok.

– Daj, Panie Boże, żebyśmy społem doczekali – brzmi odpowiedź. Czego mamy doczekać, nie wiem dokładnie, Zapewne drugiej wilii. Ktoby sobie takiemi myślami zaprzątał głowę? Toż to niezmiernie daleko. Zaczynają się powitania z nieodstępnem wzdychaniem świątecznem:

– Witajcie, co w skróconej i przekręconej wymowie brzmi jak:

– Ojcie

– Ojcie i wy.

– Zdrowiście ta?

– Zdrowi Bogu dziękować. A wy?

– Bóg zapłać.

– Bóg zapłać i wam.

Trwa taka wymiana grzeczności dość długo, wśród wzdychań ulgi, ale rozmowa codzienna nie zaczyna się, aby nie psuć nastroju. Dusze oderwały się od kłopotów z kurami, co się nieść nie chcą, od biedy z krowami, co mleko „ostawiają", od utrapienia z koniem, co się zmarnował, ze zbożem, co za wiele pośladu wydaje, z pastuchem, co jest „gnojek" itd. Dziś o tem się nie mówi, bo duch na skrzydłach wiary wzbił się wyżej. Więc mówi się o Kościele, o tem, który ksiądz będzie miał „ranię", a który pasterkę, o tem, co rodzice i dziadowie za porządek świąteczny trzymali, jakie dawali przykazy i jakie „obieczaje" zachowywali. Myśl od trosk codziennych pobujała w sfery inne, w nastrój świąteczny, gdzie człowiek staje się i chce być lepszym.

W Kościele panuje mrok wielobarwny. Wszystkie gzymsy murów i ołtarzy zastawione gęsto kolorowemi lampkami, w kształcie naczyń podłużnych, które nalane stopionym tłuszczem, kryją w niebieskiem, czerwonem lub żółtem szkle migotliwe płomyki, co napełniają przestrzeń zafarbowanym połyskiem. Wysokie sklepienie ginie w pomroce. Ołtarze strojne w las sztucznych kwiatów i zieleni, a po trzy szeregi niezmiernie wysokich świec bieleją jakimś tajemniczym ~~połyskiem~~ blaskiem. Każda zaś ubrana w zwisający

bukiet kwiecia. Jest skupienie, cisza przerywana poszeptem pacierzy, półmrok dyskretnie wielobarwny — jakaś tajemnica jak ukryte szczęście, jakieś błogie oczekiwanie, jakiś nastrój powagi i tłumionego wesela.

Już zapalono kilkadziesiąt świec w wielkim ołtarzu, którego dolna część stanęła w jaskrawych blaskach. Nad cyborjum — bo ołtarz ma rozmiary olbrzymie — wystawiona szopka betlejemska i illuminowana obficie.

Nareszcie ozwał się dzwonek w zakrystyi po raz pierwszy. Z dalekiego chóru zabrzmiał weselny pochód, jakoby marsz, czy pochód taneczny: „Wśród nocnej ciszy". Organista ma potężny, ale miękki głos, więc wezwanie „Czem prędzej się wybierajcie", choć skoczne, ma taki słodki, upajający odcień, z taką lubością uderza o ciemne sklepienie, że się dusza rwie. Drugi dzwonek, druga zwrotka, a potem dzwonek trzeci — z zakrystyi wychodzi ośmiu ludzi odświętnie ubranych, z szarfami niebieskiemi przez ramiona i niosą gorejące pochodnie. A wtem organ huknął jakiś marsz tryumfalny wszystkimi rejestrami, aż mury kościelne się trzęsą, uderzono na chórze w kotły i surmacze zadęli pobudkę jak na powitanie monarchy: Bóg się narodził. Wśród tego tryumfalnego huku trąb, kotłów i organu, co zdało się przebił sklepienie i nieprzeparty dotarł do nieba, ksiądz biały stanął przy ołtarzu wśród płomieni pochodni.

Gdy przyszło: „Gloria" śpiewane na odmienną nutę, znowu organ zagrzmiał na wszystkie ~~t~~ rejestry, znowu zadęli surmacze i zahuczały kotły, a wśród brzęku dzwonków spadł obraz zasłonowy i odkryła nam naszą ukochaną Madonnę Sykstyńską z nieporównanymi aniołkami, co podparci na rączkach niemowlęcych, poglądają w górę, gdy tymczasem mozarsza muzyka przeszła w skoczną kolędę: „Przybieżeli do Betlejem pasterze." Dopieroż gdy chór doszedł do miejsca: „Chwała na wysokości," to zdawało się, iż z tym wniebowstępnym okrzykiem radości i dusza wyrywa się z człowieka i ulatuje tam gdzieś, aż poza obłoki.

Trudno całą mszę ~~...~~ nocną opowiadać. Trzeba dzieckiem być i słyszeć tę hałaśliwą uciechę kościelną, aby zrozumieć i odczuć, że to wrażenie dzieciństwa zostaje na całe życie, splecione z najdroższem wspomnieniem rodziców, z rajską wonią lat dziecinnych i z urokiem starych czasów, które każdemu wspominającemu wydają się lepsze i piękniejsze niż chwila obecna. A gdy się siedzi w więzieniu, ~~..~~ i czeka śmierci, to takie wspomnienie naprawdę jest ukojeniem.

Takie opowieści powierzałem Przewoźnikowi i porównywaliśmy obyczaje nasze ze śląskimi, ale różnice były niewielkie, zwłaszcza w zwyczajach pozakościelnych. Jeden

ny lud, mimo rozdziałów.

Położyliśmy się już, a ja gawędziłem o myciu się kłosem i pieniądzem w dzień Bożego Narodzenia; o wynoszeniu słomy i siana na święty Szczepan i okręcaniu drzew owocowych, o „szczodrym wieczorze" itd. Musiałem mówić interesująco, bo mówiłem z serca, bo zresztą Przewoźnik nie usnął, tylko wzdychał, myśląc o dzisiejszej doli.

Nie żądano od nas, żebyśmy spali – pozwolono więźniom cieszyć się choćby całą noc. I długo, długo w noc gwarzyliśmy, coraz ciszej, coraz senniej. Wicher szumiał na dworze i bił śniegiem w szyby – noc zdawała się groźną i niebezpieczną dla tych, którzy pozostawali poza domem. I dla wspomnień, że ta noc przeznaczona do skupienia się przy ognisku rodzinnem i dla zawieruchy, szalejącej na dworze, dobrze nam było, gdy senność przygłuszyła obawy i żale, aż nagle z dziedzińca poza ścianą doszedł do nas przygłuszony, niewyćwiczony śpiew, brzmiący jak tłumione łkanie:

Wśród nocnej ciszy.

To żołnierz, pełniący wśród zawieruchy samotną straż na dziedzińcu, depcąc po zakrzepłej krwi tylu straconych, pocieszał smutek oddalenia i trwogę nocy wśród duchów skazańców, swoją kochaną Kolędą.

Uwolnienie towarzyszów.

Sielanka świąteczna przeciągnęła się przez dzień Bożego Narodzenia, w który przechadzka więźniów miała charakter hałaśliwy, gwarny, nieporządny. Ale od dnia następnego już przywrócono stary rygor, wśród wrzasków, łajań i gróźb. Dwóch żołnierzy dostało twarde łoże o chlebie i wodzie, jeden ciemnicę, jeden publicznie obity przez Brunnera.

Wróciły więc przechadzki ponure w nienagannym szyku parami, zależne od krzykliwej, jakgdyby rozwścieczonej komendy. Ale półgłosem rozmawialiśmy, bacząc, żeby par nie zmylić, lub broń Boże we trzech się nie znaleźć na jednej linii.

O czem się mówiło? Po mojem sprawozdaniu politycznem mówiono zazwyczaj o bliskości końca wojny. Nikt nie chciał przypuścić, żeby jeszcze jedną zimę miano przepędzić w polu. Uznawano to za szczere nieprawdopodobieństwo. Ja jeden powoływałem się na Asquitha, że wojna może potrwać ze trzy lata, ale mnie wyśmiewano razem z mężem stanu, którego powagą się zasłaniałem. W Austryi będzie niechybnie głód – dziś już brakuje broni i amunicyi – Niemcy są zesocyalizowane. Przytaczałem posła Franka, który jako ochotnik zginął w Belgii, na dowód, że socyaliści niemieccy są takimi zaborcami jak wszechniemcy, ale moi współkompanowie wierzyli w rewolucyjność robotnika niemieckiego.

Ale wkrótce rozmowa schodziła z polityki na osobiste sprawy

i na trapiące pytanie: „co będzie ze mną?" Więc każdy powtarzał swoje obwinienie i wykazywał jego bezzasadność. Że jednakże nadzieja jest nieśmiertelną w człowieku, oczekiwano amnestyi. Pragnienie zamieniało biedakom nadzieję w pewność. Gdy wilia minęła bez amnestyi, zaręczano, że na Nowy Rok cesarz da swoim zmaltretowanym ludom ten upominek. I aby uprawdopodobnić tę nadzieję, opowiadano wzruszające zapewnienia o dobroci serca Franciszka Józefa. Ja miałem od dziecka instynktową odrazę do tego pana, którego mi zły los wyznaczył za władcę, więc zdumiewałem się nad głębią serwilizmu, wkorzenionego w serca pod postacią wierności wobec tronu. Dziś sądzę, że te opowiadania były tylko dowodem beznadziejności naszego położenia. Nie można było wierzyć w sprawiedliwość, bo ją deptano z krwiożerczym cynizmem – ani w prawa ludzkie, czy konstytucyjne, bo je zawieszono – ani w parlament, bo posłowie siedzieli po więzieniach. Znikąd nadziei, pomocy, ratunku: zostawała łaska boska lub cesarska. I dla upozorowania swej wiary w łaskę, wmawiano w siebie przekonanie w różne cnoty serca u cesarza. Tymczasem ze wszystkich figur historycznych Franciszek Józef najmniej miał serca i uczuć ludzkich. To nie był człowiek, tylko drewniany automat monarchy. Jednego słowa, jednego gestu ludzkiego niema w jego matuzalemowem życiu. Gdy mu rozstrzelano brata w Meksyku, gdy zabito żonę, gdy się siostra żywcem spaliła, gdy syn haniebnie zginął, gdy przegrał wojnę

włoską, lub pruską, gdy mu obecnie zabrano Galicyę i część Węgier, korrespondencya dworska nie miała nic innego do zanotowania nad to, że Najjaśniejszy Pan spożył ze zwykłym apetytem obiad o zwykłej godzinie i że z niezmienioną punktualnością przyjmował raporty i pisał w biurze. Ta drewniana maszyna majestatu nie miała nawet uczuć majestatowych. Uratowany przez Mikołaja w 1848 roku zdradził swego dobroczyńcę w pięć lat później. Pobity przez Prusaków i wyrzucony z Rzeszy niemieckiej, zawarł ze zwycięzcami „przymierze serca" i poddał się pod ich władzę. Niezmiękczony prośbami Paszkiewicza, pogromcy Węgrów, kazał węgierskich jenerałów po kolei wywieszać, jako buntowników, ale Piłsudskiego, który wedle monarszych wyobrażeń, był tylko rosyjskim zdrajcą, przyjął na audyencyi. Ciasne, zakute, drobiazgowe, ale ślepe samolubstwo uczyniło mu z własnej osoby dogmat, państwo, racyę stanu, prawo i religię. Nie był potworem jak Kaligula, Nero czy Karakalla, ale nie miał i ich kaprysów, czasami bardzo zadziwiających, które świadczyły, że w nich człowieczeństwo nie wyschło. Jeszcze najwięcej przypominałby Tyberyusza.

I na dobroci takiego zasuszonego serca budowali biedni więźniowie swoje nadzieje. Czekali amnestyi i codziennie pytali, czym o niej w gazetach nie wyczytał. Tłumaczyłem, że amnestyę wydaje się z powodu jakiejś daty. Taką datą była rocznica wstąpienia na tron 2 grudnia, ale minęła. „Gwiazdka" minęła także.

Niepoprawni marzyciele czekali na Nowy Rok. Gdy i ten minął, dowiedzieli się, że w styczniu urodziło się któreś tam dziecko następcy tronu i z drżeniem czekali kilka tygodni naturalnie daremnie. Najniecierpliwszych pocieszałem, że w sierpniu 18. są urodziny cesarskie, a w październiku imieniny, więc wtedy możeby można jakiejś łaski oczekiwać. To było im za długie czekanie i złożyli nadzieję na marzec, na świętego Józefa, chociaż cesarz tego swego imienia nigdy nie święcił. Aby z amnestyą skończyć powiem, że z niepokojem później czekano na zajęcie Warszawy, licząc, iż zdobycie stolicy da cesarzowi sposobność do okazania ~~...~~ dobrego serca.

Gdzieś z końcem stycznia przyszedł czas na rozprawę Pospisila. Wedle procedury wyznaczono mu obrońcę z urzędu Dr.a Grünfelda, adwokata, który pełnił służbę jako oberleutnant auditor i wedle tej samej procedury obrońca miał go zawołać, aby się zaznajomić ze sprawą i zdobyć argumenty do obrony. Pospisil czekał, ale daremnie. Prosił o zaprowadzenie do sędziego obrońcy, ale ten nie miał czasu. W przeddzień rozprawy ciężko już było z chłopcem pogadać, tak był niespokojny. Musiałem go pocieszać, że go niechybnie zawezwą w czas przed rozprawą i że będzie miał możność nazajutrz wyłożyć obrońcy swoje zarzuty. Nie mogąc z nim inaczej dojść do ładu, bo już febry dostawał, przerabiałem z nim prawie całą rzecz, wymyślałem zarzuty i odparcia, jednem słowem przeprowadzałem

próbę do lekcyi popisowej.

Nazajutrz wezwano go prosto na rozprawę. We drzwiach do sali spotkał się z obrońcą i miał tylko czas mu powiedzieć, że go obwinia jako „Kronzeuge" Nakonieczny, przy czem po dziecinnemu dodał, że to Rusin, a udaje Polaka.

– To bardzo ważne – powiedział obrońca i zostawił biedaka w rozpaczy.

Rozprawa się rozpoczęła odczytaniem aktu oskarżenia i zeznań kolejarzy prościejowskich, audytor oskarżyciel najechał na zdradzieckość i przewrotowość Pospiszila, żądając na niego kary śmierci. Dr. Grünfeld zażądał przesłuchania świadka głównego i wszedł Nakonieczny. Zaczęto od rodowodu. Zapytany o religię, powiedział, że rzymsko-katolicka. Dr. Grünfeld wpadł mu w słowo:

– Ja znam wschodnią Galicyę. Czortkowszczyzna jest przeważnie ruska. Może pan jest obrządku grecko-katolickiego, a nie rzymskiego?

– To ż to wszystko jedno – odpowiedział zakłopotany Nakonieczny.

– Jedno nie jedno, ale jaką religię naprawdę pan wyznaje?

– Grecko-katolicką.

Przy zeznaniu narodowości powtórzyło się to samo. Nakonieczny powiedział, że jest Polakiem, ale wzięty na spytki, przyznał że jest Rusinem, a zeznawał przy pierwszem przesłuchaniu inaczej, bo uważał, że to wszystko jedno.

Zeznania odczytane innych kolegów Pospisila brzmiały dla niego pomyślnie. Jedynym świadkiem obciążającym był Petro Nakonieczny. Wobec tego Dr Grünfeld w swej obronie wyzyskał jego nieprawdomówność, dochodząc aż do takich drobiazgów, jak religia i narodowość, ażeby obalić jego denuncyacyę i Pospisil został uwolniony.

Okazało się później, że ten Nakonieczny nie miał studyów potrzebnych na urzędnika kolejowego, a tem mniej egzaminu. Wdrożywszy się w służbę stacyjną jako pisarz, gdy się dostał do Prościejowa, postanowił wkręcić się na urzędnika kolei północnej. Pochlebstwem ~~wzr~~ pozyskał sobie naczelnika stacyi Niemca, wszedł w towarzystwa niemieckie i chciał dla opróżnienia posady dla siebie wygryźć jedynego Czecha. Ponieważ ruskość byłaby go w tych stronach podała w podejrzenie, udał Polaka, zaprenumerował „Nową Reformę", jako pismo germanofilskie i nieprzewrotowe i ~~osiadł~~ zapisywał korenie w Prościejowie. Brak dokumentów uzasadniał tem, że uciekał pospiesznie, a ponieważ na służbie znał się, mógł liczyć, iż wkrótce zajmie miejsce Pospisila, byle ten się usunął. Do tego chciał mu pomódz denuncyacyą, która miała czeskie chłopczysko poprowadzić na śmierć.

Zeznania odczytane innych Kolegów Pospisila brzmiały dla niego pomyślnie. Jedynym świadkiem obciążającym był Petro Nakonieczny. Wobec tego Dr. Grünfeld w swej obronie wyzyskał jego nieprawdomowność, dochodząc aż do takich drobiazgów, jak religia i narodowość, ażeby obalić jego denuncyacyę i Pospisil został uwolniony.

Okazało się później, że ten Nakonieczny nie miał studyów potrzebnych na urzędnika kolejowego, a tem mniej egzaminu. Wdrożywszy się w służbę stacyjną jako pisarz, gdy się dostał do Prościejowa, postanowił wkręcić się na urzędnika Kolei północnej. Pochlebstwem ~~wz~~ pozyskał sobie naczelnika stacyi Niemca, wszedł w towarzystwa niemieckie i chciał dla opróżnienia posady dla siebie wygryźć jedynego Czecha. Ponieważ ruskość byłaby go w tych stronach podała w podejrzenie, udał Polaka, zaprenumerował „Nową Reformę", jako pismo germanofilskie i nieprzewrotowe i ~~osiadł~~ zapuszczał korzenie w Prościejowie. Brak dokumentów uzasadniał tem, że uciekał pośpiesznie, a ponieważ na służbie znał się, mógł liczyć, iż wkrótce zajmie miejsce Pospisila, byle ten się usunął. Do tego chciał mu pomódz denuncyacyą, która miała czeskie chłopczysko poprowadzić na śmierć.